

19 GRUDNIA BÓG BĘDĄCY POKARMEM DLA CZŁOWIEKA

Fragment Pisma Świętego

Chlebem jest moje ciało za życie świata

J 6,51b

W analizie fragmentu Ewangelii Jana (J 6, 51c-58) kluczowe staje się zrozumienie użycia terminów greckich, które określają ciało Jezusa i relację wiernych z Nim poprzez Eucharystię. W szczególności istotne są terminy *sarks* oraz *sōma*. W odróżnieniu od terminologii synoptycznej, gdzie *sōma* odnosi się do ciała Chrystusa jako rzeczywistości eucharystycznej, Jan posługuje się terminem *sarks*. Ten wybór nie jest przypadkowy, ponieważ *sarks* wskazuje na cielesność w jej najbardziej konkretnym, zjawiskowym wymiarze – na rzeczywiste ciało Jezusa jako istoty ziemskiej, śmiertelnej, ale

pozostającej w pełnej zależności od Boga. W ten sposób Jan podkreśla tajemnicę wcielenia, która znajduje swoje ukoronowanie w darze Eucharystii.

Ciało Jezusa w tym kontekście nie jest jedynie znakiem, który wskazuje na coś poza sobą, ani symbolem, który zmienia rzeczywistość, lecz objawieniem – rzeczywistą obecnością i całkowitą jednością. Aby to lepiej zrozumieć, można posłużyć się analogią do znaków drogowych. Znak „ostry zakręt” wskazuje jedynie na rzeczywistość zakrętu, który istnieje niezależnie od obecności znaku. Z kolei znak „ustęp pierwszeństwa” zmienia rzeczywistość, ponieważ jego obecność wymusza konkretną reakcję – ustąpienie pierwszeństwa. Jednakże znak ten nie utożsamia się z rzeczywistością pierwszeństwa, jest jedynie symbolem, który ją ustanawia. Natomiast ciało Jezusa w Eucharystii nie jest ani znakiem, ani symbolem, ale objawieniem – rzeczywistością, która nie tylko wskazuje na obecność Boga, ale tę obecność rzeczywiście urzeczywistnia.

Greckie słowo *trōgein*, użyte w tym fragmencie, dodatkowo podkreśla wyjątkowy wymiar spożywania ciała Chrystusa. W odróżnieniu od bardziej ogólnego *fagein*, które oznacza jedzenie, *trōgein* wskazuje na akt spożywania pokarmu w sposób dosłowny, wręcz cielesny. Co więcej, wprowadzenie tego terminu akcentuje wspólnotowy wymiar Eucharystii. Spożywanie ciała i krwi Chrystusa nie jest indywidualnym aktem wiary, lecz włączeniem w rzeczywistość wspólnoty eucharystycznej. To spożywanie jest nie tylko przypomnieniem, ale realnym uczestnictwem w ofierze Chrystusa. Posługując się słowem *sarks*, Jan celowo unika bardziej abstrakcyjnego *sōma*, aby mocniej zaakcentować rzeczywistość wcielenia. Ciało Jezusa, w całej swojej ludzkiej konkretności, staje się rzeczywistym pokarmem. W ten sposób Eucharystia nie jest jedynie symbolicznym aktem kultu, lecz wydarzeniem, w którym wierni zostają w pełni zjednoczeni z rzeczywistością wcielonego Słowa.

Na koniec warto zauważyć, że użycie terminu *sarks* przez Jana ma także antydoketyczne znaczenie. W czasach, gdy herezja doketyzmu podważała rzeczywistość ciała Chrystusa, Ewangelista jasno wskazuje, że Eucharystia opiera się na rzeczywistym człowieczeństwie Jezusa, które zostało ofiarowane dla życia świata. Ciało i krew Chrystusa są prawdziwym pokarmem i napojem, a ich przyjęcie oznacza nie tylko wiarę w Jego misję, ale również udział w Jego rzeczywistej obecności. Eucharystia, według Jana, jest więc czymś więcej niż znakiem czy symbolem – jest rzeczywistością, która jednoczy wiernych z Jezusem w najpełniejszy sposób. W niej Bóg objawia się nie jako abstrakcyjna idea, lecz jako wcielone Słowo, które żyje pośród nas i daje życie wieczne.

Gesty Mszy Świętej

Spożywanie Ciała Chrystusa

Jezus ofiarowuje swoje Ciało w Eucharystii, ale czy w ogóle można porównać tę ofiarę do sytuacji, w której ktoś decyduje się na dosłowne oddanie swojego ciała, by inni mogli go zjeść? To trudna myśl. Wydaje się wręcz nieludzkie, by ktoś dobrowolnie pozwalał innym spożywać swoje mięso, swoje palce, rękę, żeby przeżyli. Czy w ogóle w porządku jest pozwalać sobie na coś takiego? Czy moralnie byłoby, gdyby zwykły człowiek wziął na siebie taką ofiarę? Wyobraźmy sobie, że przygotowujemy kolację, ale zamiast gotować, obcinamy własne palce, by dać je innym do jedzenia, żeby przetrwali. To obraz, który uderza nas w swoją brutalną bezpośredniością. Byłoby to coś niewyobrażalnego, wręcz przerażającego. Jak można oddać część swojego ciała, by ktoś inny mógł przeżyć?

Zastanówmy się teraz, czy w kontekście teologicznym, taka ofiara jest możliwa, a przede wszystkim – czy w ogóle jest do zaakceptowania? Jezus daje siebie, ale w jakim sensie? Czy On musiał oddać swoje ciało, byśmy mogli żyć? A może to była Jego decyzja, by pokazać nam coś o prawdziwej miłości, która nie polega na przyjemnych, łatwych gestach, ale na ofierze, która jest absolutnie radykalna i szokująca? Czymś, co wykracza poza wszelką ludzką miarę.

Dla nas, ludzi, oddanie części swojego ciała w ten sposób to coś, co wprowadza nas w obszar tabu. Nie tylko w sensie moralnym, ale i psychologicznym – to coś, co nie mieści się w ludzkiej wyobraźni. Odrzucenie tej idei jest niemal instynktowne, bo człowiek nie chce, nie może, nie potrafi sobie wyobrazić, by ofiarować coś tak intymnego i bolesnego, jak część swojego ciała. Gdyby ktoś podszedł do nas i zapytał, czy chcielibyśmy ofiarować część siebie, tak, jak Jezus oddał swoje Ciało – odpowiedź byłaby jednoznaczna: „Nie, to niemożliwe.” I to jest zrozumiałe. Ale to, co robi Jezus w Eucharystii, jest zupełnie inne. To nie jest ofiara, którą można uznać za „normalną”. W tej ofierze nie chodzi o przetrwanie, nie chodzi o ułatwienie życia, ale o coś głębszego – o darowanie siebie, o oddanie siebie w miłości, nawet jeśli jest to niepojęte.

I teraz pojawia się kluczowe pytanie: dlaczego, skoro taki gest byłby nieakceptowalny w zwykłym ludzkim życiu, dlaczego Jezus czyni to w Eucharystii? Czemu, mając do dyspozycji całą gamę możliwych symboli, wybiera Ciało, które jest spożywane, które jest dosłownie „połykane”? Czy to

nie jest coś zbyt trudnego do przyjęcia? A jednak, w tym goście, w tej ofierze, w tym „spożywaniu Ciała”, jest coś, co ma moc radykalnej zmiany. Jezus nie daje nam czegoś łatwego, przyjemnego, co możemy zignorować lub odrzucić bez konsekwencji. On daje siebie całkowicie, w sposób, który stawia nas przed największym wyzwaniem – przyjąć to Ciało. To jest ofiara, która wymaga odpowiedzi. To nie jest symbol, to nie jest obrazek – to jest pełna, żywa ofiara, której nie możemy zlekceważyć, ponieważ jej absurdalna miłość woła do nas.

Zastanówmy się teraz, czy możemy pozwolić, by człowiek sam decydował się ofiarować siebie w taki sposób. Moralitycznie i ludzką miarą – nie, nie możemy. Nikt z nas nie ma prawa ofiarować się, by inni zjedli część jego ciała, by przetrwali. To byłoby niehumanitarne, to byłoby przekroczenie granic. Ale w przypadku Jezusa, ta ofiara nie jest tylko „wielką ofiarą”. To jest ofiara, która wchodzi w zupełnie inny wymiar – to nie jest ofiara człowieka, to ofiara Boga. I choć z ludzkiego punktu widzenia to absurdalne, z boskiego punktu widzenia to nie tylko możliwe, ale to najpiękniejsza i najbardziej prawdziwa miłość, jaką możemy sobie wyobrazić. Jezus, ofiarując się za nas, nie czyni tego, bo musiał, ale dlatego, że chciał. Chciał, abyśmy zrozumieli, co to znaczy naprawdę kochać – bez żadnych ograniczeń, bez żadnych zastrzeżeń, aż po granice absurdalności.

Więc, kiedy stajemy przed Eucharystią, musimy zadać sobie pytanie: czy przyjmujemy tę ofiarę? Czy jesteśmy gotowi przyjąć Ciało, które Jezus daje, mimo że jest to gest tak niepojęty i trudny do zaakceptowania? Czy potrafimy zrozumieć, że to, co dla nas jest niemożliwe, dla Boga jest wyrazem Jego miłości? Jezus daje nam Ciało, byśmy żyli. On ofiarowuje siebie w sposób, który nie pozwala na obojętność, nie pozwala na zignorowanie. Bo Jezus, ofiarowując swoje Ciało, robi coś, czego nikt z nas nigdy by się nie odważył. To nie jest „normalna” ofiara – to jest ofiara, która wymaga od nas odpowiedzi.

Słowa Mszy Świętej

Niech Twój anioł zanieś tę ofiarę

Pokornie Cię błagamy, wszechmogący Boże...

Te słowa zawsze uderzają mnie swoją prostotą i głębią. Pokora jest kluczem w tej chwili Mszy Świętej. Jako kapłan pochylam się głęboko nad ołtarzem, a moje dłonie są złożone – to postawa pełnego oddania i zawierzenia. Nie jestem w stanie

stanąć przed Bogiem inaczej niż w tej właśnie pokorze. Moje słowa są błaganiem – nie żądaniem, nie pewnością, ale prośbą, która przypomina mi, że wszystko, co się dzieje w Eucharystii, pochodzi od Boga. W tym momencie uświadamiam sobie, że ja sam jestem narzędziem, sługą tej tajemnicy, a wszystko, co składam na ołtarzu, ma swoją pełnię dopiero dzięki Bożemu działaniu.

...niech Twój święty Anioł zanieś tę Ofiarę na ołtarz w niebie...

Kiedy wypowiadałem te słowa, stałem przed pytaniem: kim jest ten Anioł? Tradycja sugeruje, że może to być Archanioł Michał – patron Kościoła i mój osobisty patron. On, obrońca i stróż, ma w tym momencie zanieść Ofiarę przed oblicze Boga. To niezwykle, że prośba ta łączy to, co ziemskie, z tym, co niebiańskie. W Eucharystii ofiara składana na ołtarzu tutaj, w naszej rzeczywistości, zostaje włączona w ofiarę Chrystusa i staje się rzeczywistością nieba.

...przed oblicze boskiego majestatu Twego...

Te słowa uświadamiają mi, że to, co dzieje się na ołtarzu, nie jest tylko ziemskim wydarzeniem. Eucharystia to moment, w którym dotykamy Bożego majestatu. Ofiara Chrystusa nie jest jedynie aktem historycznym, ale żywą rzeczywistością, która trwa w niebie. W tym momencie czuję, że stoję przed tajemnicą, która jest większa niż wszystko, co mogę zrozumieć. Moją rolą nie jest próba wyjaśnienia tej tajemnicy, ale jej głębokie przeżycie. To jest chwila, w której ja sam muszę się ukorzyć, uświadamiając sobie, że uczestniczę w czymś, co przekracza moje ludzkie zdolności.

...abyśmy przyjmując z tego ołtarza Najświętsze Ciało i Krew Twojego Syna...

Te słowa przypominają mi, że Eucharystia nie jest jedynie rytuałem, ale rzeczywistym darem Boga. Przyjmuję Ciało i Krew Chrystusa, który ofiarował siebie za nas. Jednak w tej chwili widzę także swoje powołanie – nie tylko składam Ofiarę, ale sam powinienem stawać się ofiarą. Jezus zaprasza mnie, bym nie tylko uczestniczył w Jego Ofierze, ale bym się z nią utożsamiał. To wezwanie do całkowitego oddania – by moje życie stało się żywą ofiarą, aby moje kapłaństwo było nieustannym zjednoczeniem z Jego krzyżem.

...otrzymali obfite błogosławieństwo i łaskę.

To przypomnienie, że wszystko, co dzieje się w Eucharystii, jest darem. Łaska i błogosławieństwo, które otrzymujemy, są owocem tej Ofiary. Czuję, że te słowa są jak

pieczęć, która zamyka tę modlitwę. Wszystko, co robię jako kapłan, zmierza do tego, by wierni, a także ja sam, mogli uczestniczyć w tej łasce. Nie mogę przyjąć tych słów powierzchownie – one przypominają mi, że Eucharystia nie jest moją zasługą ani moim dziełem. Jest darem Chrystusa, który w swojej nieskończonej miłości ofiarował siebie za nas.

Ten pokłon to nie tylko gest zewnętrzny, ale wyraz wewnętrznego oddania. Gdy pochylam się nad ołtarzem, czuję, jakby moja dusza pragnęła zjednoczyć się z ofiarą Jezusa. To pochylanie przypomina mi o tym, jak On uniżył się dla nas, aż do śmierci krzyżowej. W moim ruchu jest zawarta nie tylko adoracja, ale i akt pragnienia – by stać się jednym z Chrystusem, który ofiaruje siebie w tej chwili. W tym momencie zbliżam się tak blisko do chleba, że niemal mógłbym go pocałować. To przypomina mi, że nie jestem oddzielony od tej Ofiary – jestem w niej, jestem jej częścią.

W tej modlitwie nie mogę zapomnieć, że nie tylko Chrystus jest ofiarą. On zaprasza mnie, bym i ja stał się ofiarą. Moje życie, moje kapłaństwo, każdy dzień – wszystko to powinno być oddane Bogu jako ofiara miła Jemu. To nie oznacza tylko cierpienia, ale pełne oddanie – by moje życie było wyrazem miłości do Boga i do ludzi. Tylko w ten sposób mogę w pełni uczestniczyć w tajemnicy Eucharystii. Jezus nie zaprasza mnie, bym jedynie odprawiał Mszę Świętą, ale bym żył nią każdego dnia, bym zjednoczył się z Jego Ofiarą na ołtarzu i poza nim.

Święta Teresa z Kalkuty

Wystąpienie z zakonu sióstr Loretanek

Podjęcie decyzji o opuszczeniu zakonu loretanek nie przyszło łatwo. Mimo pewności, że to właśnie za Chrystusem pragnę iść, nadal czułam niepewność, czy to naprawdę Jego wola, czy może jedynie mój ludzki impuls. Aby rozwiać wątpliwości, postanowiłam zwrócić się o pomoc do księdza Celestyna, który w tych trudnych chwilach stał się moim duchowym przewodnikiem. Nasze rozmowy były pełne napięcia, ale i pocucia, że mogę oddać wszystko w ręce Boga. Ksiądz Celestyn zrozumiał moją wewnętrzną walkę. Podkreślił, że muszę modlić się z całego serca i zaufać, że to Chrystus sam wskazuje mi drogę. Przypomni mi, że w chwili wątpliwości powinnam jeszcze bardziej trzymać się modlitwy i sakramentów, aby nie oddalić się od Jego woli.

Nasza rozmowa przeniosła się również na kwestie formalne. Ksiądz Celestyn zapytał, czy powinnam złożyć prośbę do Stolicy Apostolskiej o zwolnienie ze ślubów zakonnych, czy wystarczy jedynie zgoda przełożonych. W tej chwili zaczęłam

dostrzegać, jak wielka jest ta decyzja – z jednej strony, to zaledwie krok w stronę większego oddania się Bogu, z drugiej – decyzja, która niesie ze sobą formalne konsekwencje, które mogą zmienić moje życie na zawsze. Wiedziałam, że w takiej sytuacji konieczna jest oficjalna prośba do Stolicy Apostolskiej. Ksiądz Celestyn uspokoił mnie, tłumacząc, że proces ten może potrwać dłużej, bo wymaga staranności i szacunku do instytucji kościelnych. Jednak poczułam, że to dla mnie czas oczyszczenia, czas na przemyślenie tej decyzji, czas, w którym muszę być cierpliwa i zaufać Bożej opatrności.

Czekanie na odpowiedź od Stolicy Apostolskiej stało się dla mnie kolejnym czasem wewnętrznego oczyszczenia. Każdy dzień przynosił nowe pytania i wątpliwości, ale wiedziałam, że nie mogę pośpiechem zburzyć tego, co Bóg w moim sercu budował. Cała ta procedura trwała kilka miesięcy, a ja czułam się, jakbym przechodziła przez kolejne fazy oczyszczenia. Czasami zdarzały się chwile zwątpienia, gdy myślałam, że może to wszystko jest tylko moją chęcią ucieczki, a nie prawdziwym wezwaniem Bożym.

Kiedy w końcu nadeszła odpowiedź z Watykanu, a moja prośba została przyjęta, poczułam głęboki pokój, ale i smutek. Wiedziałam, że teraz nie ma już odwrotu. Opuszczenie zakonu było decyzją, która zrywała mnie z tym, co było moim życiem przez tyle lat, ale równocześnie pozwalała na nowo oddać się całkowicie Bożej woli. Z pomocą księdza Celestyna, który nieustannie towarzyszył mi modlitwą i radą, mogłam teraz podjąć ten krok w pełni przekonana, że to, co wydaje się końcem, jest w rzeczywistości początkiem. Pomimo formalności, czułam, że w tej decyzji zawarta jest ogromna miłość, która nie zasklepiła się w przeszłości, ale otwierała przede mną nowe, nieznane przestrzenie Bożego powołania.

Prawda zasiana w sercach

Ofiarować się za innych

Pan Wołodyjowski, Henryk Sienkiewicz

Na wprowadzenie tylko tyle - Michał ofiarował się z miłości...

— Chwała Bogu — rzekł mały rycerz — będzie spoczynek przynajmniej do jutrzejszej „kindii”, a należy się nam sprawiedliwie. Lecz był to względny spoczynek, bo gdy noc stała się jeszcze głębsza, w ciszy rozległ się znowu dźwięk kilofów bijących w skalną ścianę. — Gorsze to od dzia! — rzekł nasłuchując Ketling. — Ot, wycieczkę by wyprowadzić — zauważył mały rycerz — ale niepodobna, ludzie zbyt fatigati. Basia uściskała z radości pana Zagłobę, mały zaś rycerz widząc, jak bardzo jej o to chodzi,

rzekł: — To pójdźmy do komnat. Lecz pokazało się, iż w komnatach pełno było kurzawy wapiennej. Niepodobna w nich było wytrzymać, więc po jakimś czasie Basia z mężem wyszli na powrót ku murom i umieścili się w niszy po zamurowaniu starej bramy. Noc była sierpniowa, ciepła i słodka. Księżyc oświecał srebrnym światłem wgłębienie, tak że twarze małego rycerza i Basi były skąpane w blasku.

Ciche światło miesiąca pełzało po tych kupach, jakby ów samotnik niebieski chciał wiedzieć, kto śpi tylko ze znużenia, a kto już usnął snem wiecznym. — Michałku, nie śpisz? — spytała Basia. — Aż dziwno, ale nic się nie chce — odpowiedział mały rycerz. — A dobrze ci tu jest? — Dobrze. A tobie? — Oj, Michałku, tak dobrze, oj! Oj! Słyszałeś, co ów tam śpiewał? Basia powtórzyła ostatnie słowa piosenki: „Niech z głodu zamrę przy krzywym płocie, Byle przy tobie!” Nastąpiła chwila milczenia, którą przerwał mały rycerz: — Baśka! — rzekł — słuchaj no, Baśka! — Co, Michałku? — Bo prawdę rzekłszy, okrutnie nam dobrze ze sobą i tak myślę, że gdyby jedno z nas poległo, to by drugie bez miary tęskniło. Basia doskonale zrozumiała, że mały rycerz mówiąc: „gdyby jedno z nas poległo” zamiast „umarło” — siebie miał na myśli. Przyszło jej do głowy, że on może nie spodziewa się wyjść żywym z tego oblężenia, że chce ją oswoić z tym terminem, więc straszne przecucie ścisnęło jej serce i złożywszy ręce rzekła: — Michałku, miej miłosierdzie nad sobą i nade mną!

— A widzisz, Baśka, że nie masz słuszności — rzekł — bo tak wzięwszy tylko na rozum, cóż to jest to życie doczesne? Przez co tu kark kręcić? Komu tu będzie dostatkiem smakować szczęśliwość i kochanie, kiedy wszystko kruche jako zeschnięta gałąź, co? Basia poczęła się trząść z płaczu i powtarzać: — Nie chcę, nie chcę, nie chcę! — Jak mi Bóg miły, tak nie masz słuszności — powtórzył mały rycerz. — Ot, uważasz, tam w górze, za onym cichym miesiącem, jest kraina wiekistej szczęśliwości. Kto się na tamtą lewadę dostanie, ten dopiero sobie odsapnie, jakby po długiej drodze — i pasie się spokojnie. Jak na mnie termin przyjdzie (a to przecie żołnierska rzecz), zaraz sobie powinnaś powiedzieć: „Nic to!” Po prostu powinnaś sobie powiedzieć: „Michał odjechał, prawda, że daleko, dalej jak stąd na Litwę, ale nic to! Bo i ja za nim podążę”. Baśka, no, cicho, nie płacz! Które pierwsze odjedzie, to drugiemu kwatere przygotuje — i cała sprawa.

Tu przyszło na niego jakby widzenie rzeczy przyszłych, bo oczy podniósł ku miesięcznemu blaskowi i tak dalej mówił: — Co to doczesność! Dajmy, że ja już tam będę, aż tu ktoś puka do niebieskich podwoi. Święty Piotr otwiera; patrzę ja: kto? Moja Baśka! Rety! O! To dopiero skoczę! O! To dopiero zakrzyknę! Miły Boże! Słów w gębie brak! I nie będzie płakania, jeno wieczne wesele, i nie będzie pogan ni armat, ni min pod murami, jeno spokój i szczęśliwość! Ej, Baśka, pamiętaj: nic to! — Michale, Michale! — powtarzała Basia. I znowu nastąpiła cisza, przerywana tylko odległym monotonnym dźwięczeniem kilofów. Wreszcie Wołodyjowski ozwał się: — Baśka, zmówimy sobie teraz pacierz. I te dwie dusze, czyste jak łyzy, poczęły się modlić. W miarę jak odmawiali pacierze, spływał na oboje spokój, a potem zmorzył ich sen i usnęli aż do pierwszego brzasku. Pan Wołodyjowski odprowadził następnie Basię, jeszcze przed „kindią” poranną, aż do mostu łączącego stary zamek z miastem, na odchodnym zaś rzekł jej: — Pamiętaj, Baśka: nic to!